

Jan P. Hudzik

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie

Uniwersytet i problem krytycznego intelektualnego obywatelstwa

Motto:

W całej Europie postkomunistycznej uniwersytety są stosunkowo słabe. Sfera intelektualno-polityczna, tak zwane *public-intellectual life*, w którym uczestniczę w Wielkiej Brytanii czy Stanach, ma tam materialno-profesjonalny fundament na dobrych uniwersytetach. Krugman, Stiglitz, Huntington, Nye, oni wszyscy wyrosli z uniwersytetu, który stanowił ich bazę.

Odbudowa potencjału intelektualnego i polityki społecznej to kluczowe wyzwania, przed jakimi teraz stoicie.

Timothy Garton Ash¹

Uwagi wstępne

Mam wrażenie, że o uniwersytecie mówi się u nas publicznie jakby ze ściśniętym gardłem – doskonale radzimy sobie z wszelkiego rodzaju analizami jego historycznych modeli, poczynając od średniowiecznego, przez liberalny, a kończąc na współczesnym. Znacznie gorzej przychodzi nam już jednak odnieść się w trybie debaty publicznej do tego, dlaczego uniwersytet jest u nas taki, jaki jest? Kim są jego pracownicy – intelektualści? Co oni sami o sobie wiedzą?

Pytania dotyczą rozumienia. Rozumienia czego konkretnie? Powiedzmy tego, czy moglibyśmy u nas wskazać jakiś prosty związek lub zależność między nowymi programami badań akademickich/aktywnościami akademików a kondycją naszego społeczeństwa – zwiększeniem poziomu panującej w nim tolerancji, świadomości wspólnoty politycznej, podniesieniem jakości debaty publicznej i mediów publicznych, zmniejszeniem stopnia agresji wobec obcych czy nienawiści w Internecie? Tego rodzaju pytania zakładają odpowiedzi na kwestie bardziej

¹ W rozmowie z J. Żakowskim pt. *Zasłużyliście na pół wieku nudy*, „Polityka” nr 23, 4.06–10.06. 2014, s. 20, 21.

ogólne: czy poruszamy się (my akademicy) w obrębie reżymów konceptualnych, w rezultacie także instytucjonalnych, których czujemy się współtwórcami? Czy oferujemy jakieś koncepcje legitymizacyjne dla sfery publicznej? Ukryte założenie tych pytań to przekonanie o pewnej wyjątkowości świata akademickiego. Można je jednak obejść – może nie całkowicie (szczerze) – demokratyczną z ducha zasadą respektowania wielości i odrębności ról zawodowych i społecznych.

Sposób myślenia, który proponuję w niniejszym tekście, ma swój punkt startowy w dwóch książkach: jednej polskiej – pt. *Solidarność. Niespełniony projekt polskiej demokracji*² – i jednej amerykańskiej, przetłumaczonej jako *Spełnianie obietnicy naszego kraju*³. Prosty, czytelny sygnał: Stany Zjednoczone są projektem, który się spełnia, solidarna Polska – nie. Opinie dokładnie odpowiadające obowiązującym u nas stereotypom: tym za oceanem zawsze wszystko się udaje, nam – nic, nigdy. Dlaczego? Co z nami nie tak? Jaki udział w tym niepowodzeniu mieliby „jajogłowi”? I wreszcie – po co nam Amerykanie w naszej akademickiej debacie tożsamościowej?

Tekst powstał przy zastosowaniu analizy krytycznej do dokumentów w sprawie aktualnej reformy szkolnictwa wyższego oraz do wielu fragmentów debaty publicznej, związanej z tą reformą i ze światem nauki, wybieranych niemal spontanicznie w trakcie jego powstawania. Nie mamy tu zatem do czynienia z żadnym systematycznym – „obiektywnym” – opracowaniem tematu. Celem analizy ma być ukazanie sił uczestniczących w walce o ustalanie tożsamości uniwersytetu i intelektualistów, ujawnienie teoretycznych i politycznych podstaw, na których opiera się proces społecznego konstruowania ich znaczeń. Prezentowany tu namysł nie jest i dlatego nie może być neutralny wobec walczących stron.

Intelektualiści

Sala wykładowa należy do przestrzeni publicznej. Świadomi tego faktu są akademicy lewicowi – swoje zaangażowanie w sprawy społeczne traktują oni jako obowiązek życia intelektualnego. Krytyczni, nieufni wobec zastanych, postrzeganych jako oczywiste i naturalne, porządków rzeczy, sens swojej pracy upatrują w demaskowaniu i wyjaśnianiu ukrytych za nimi – za tymi porządkami – abstrakcji, a to znaczy – w robocie emancypacyjnej, we wspieraniu ludzkiej wolności i autokreacji. W swym profesjonalizmie są na ogół lewicowi – ich dyscyplina, socjologia, powstała przecież z myślą o badaniu społeczeństw nowoczesnych, a więc żyjących w porządku posttradycyjnym. Po świecku

² I. Krzemiński, *Solidarność. Niespełniony projekt polskiej demokracji*, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2013.

³ R. Rorty, *Spełnianie obietnicy naszego kraju. Myśl lewicowa w dwudziestowiecznej Ameryce*, przeł. A. Karalus i A. Szahaj, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2010 (tytuł oryginału: *Achieving our Country. Leftist Thought in Twentieth-Century America*, [1998]).

święci – nastawieni w swej krytyce „bardziej na duchowość”⁴ – jak chce Karl Mannheim – niż na jakikolwiek awans społeczny. Po Jean-Paulu Sartrze intelektualistów zwykło się najkrócej opisywać jako osobników, którzy po prostu nie zajmują się wyłącznie swoimi sprawami⁵ – zdystansowani do samych siebie i do świata, na własne życzenie wykluczeni „z doraźnych wpływów i przywilejów”⁶ bądź inaczej: z relacji „władzy i dominacji”⁷, zarówno tych wewnątrz, jak i tych na zewnątrz uniwersytetu, jeśli już są z nim związani. Te pierwsze – relacje wewnętrzne – byłyby pochodną dyscyplinarnego podziału nauk i wszystkiego, co z niego wynika: pozycji instytucjonalnej, nadawania stopni i tytułów naukowych, piastowania funkcji, ubiegania się o granty... Zewnętrzne wobec uniwersytetu relacje wyznaczają instytucje państwa.

Krytyczne obywatelstwo intelektualne polegałoby – jak chce Dominick LaCapra⁸ – na pójściu „w poprzek” obydwu tym reżymom: z uniwersytetu czyniłoby miejsce wolności badań i dyskusji, które – z jednej strony – nie ograniczają się do jednej dyscypliny (są inter-, transdyscyplinarne, klasterowe...), z drugiej, odnoszą się też do polityki – nie tylko kulturowej, lecz także społecznej: „wszystkie uniwersytety godne tego miana zawsze stanowiły centrum protestów społecznych [...] być intelektualistą, to być świadomym kwestii społecznej sprawiedliwości i o nich mówić”⁹ – a to już Richard Rorty.

Akademicki profesjonalizm, w wydaniu lewicowym, wiąże się więc nie tylko z umiejętnością demaskowania coraz to nowych mechanizmów opresji i dominacji społecznej, lecz także z momentem zaangażowania w sprawy publiczne, wyjścia na agorę do pracy nad jej poszerzeniem, włączaniem do niej – odpowiednio – kolejnych nowych podmiotów, które same nie są zdolne w niej się pojawić – z wielu różnych powodów: ekonomicznych, kulturowych, rasowych... Do pracy nad mediowaniem między tym, co jest ich własne i unikalne, a tym, co dzielą oni razem z wszystkimi innymi¹⁰. Postawa krytyczna, jak odczytuje ją współczesna humanistyka, nie musi wiązać się więc od razu z intencją „zniesienia” stanu instytucjonalnego zniewolenia, emancypację dostrzega ona bowiem także w pracy nad

⁴ K. Mannheim, *Ideologia i utopia*, przeł. J. Niziński, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2008, s. 295.

⁵ D. LaCapra, *Uniwersytet w ruinie?*, [w:] *idem*, *Historia w okresie przejściowym. Doświadczenie, tożsamość, teoria krytyczna*, przeł. K. Bojarska, Universitas, Kraków 2009, s. 310.

⁶ P. Bourdieu, *Intelektualista totalny i iluzja wszechmocy myśli*, [w:] *idem*, *Reguły sztuki. Geneza i struktura pola literackiego*, przeł. A. Zawadzki, Universitas, Kraków 2007, s. 326.

⁷ M. Walzer, *Interpretacja i krytyka społeczna*, przeł. M. Rakusa-Suszczewski i M. Szuster, Fundacja Aletheia, Warszawa 2002, s. 72.

⁸ Zob. D. LaCapra, *op. cit.*, s. 304-305.

⁹ R. Rorty, *op. cit.*, s. 96.

¹⁰ Zob. i por. przykładowo: Z. Bauman, *Płynna nowoczesność*, przeł. T. Kunz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006, s. 64. D. LaCapra, *op. cit.*, s. 310; M. Gdula, *Władza krytyczna i siła wyobraźni*, [w:] *Uniwersytet zaangażowany. Przewodnik Krytyki Politycznej*, opr. zbiorowe, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2010, s. 225-226; M. Środa, *Inteligenci do polityki!*, „Fakt.pl” 20.01.2010, <http://www.fakt.pl/sroda-Inteligenci-do-polityki-,artykuly,62234,1.html> (pobrano: listopad 2014).

rozproszeniem, niejako upłynnieniem tego stanu – zakłada, że zdekonstruowane w tekstach humanistów pojęcia i kategorie wiodą dalsze własne życie, sam proces ich destabilizacji stwarza szanse dla uruchamiania kulturowych praktyk polityki oporu wobec zastanych relacji władzy i opresji. Tak pojęty profesjonalizm ma być dla akademika w rezultacie – jak brzmi jedno z jego określeń – „rodzaj[em] prasowej wejściówki do sfery publicznej i polityki”, „podstaw[a] nie tylko wyboru, ale także obowiązku życia intelektualnego”¹¹.

Inaczej widzą swoją profesję akademicy pravicowi (jeśli przyjmiemy taką kategoryzację) – oni z nikim nie muszą walczyć o swoje racje, brzydzą się wręcz takim zaangażowaniem, przypisują je „lumpenintelektualistom” (= mentalności mającej być połączeniem „moralisty, komisarza i donosiciela”¹²), sobie rezerwując zdolność bezpośredniego obcowania z wewnętrzną naturą rzeczy – i nie przyjmują krytyki swoich oponentów, zarzucających im interesowność, wymawiających zyski, jakie mają czerpać z obrony świętego porządku.

Te dwa, modelowo zarysowane, obozy istnieją w polskim środowisku akademickim – ich spór pozostaje jednak dość jałowy, jeśli już wychodzi na forum publiczne, to zwykle na zapotrzebowanie mediów masowych, wtedy jednak ma posmak skandalu, newsa, eventu (np. ostatnia debata publiczna na temat *gender* czy wykład Zygmunta Baumana we Wrocławiu w 2013 r.). Skąd ta bezzębność akademików?

Polityka

W minionym ćwierćwieczu elity polityczne przejmują inicjatywę w państwie, wykluczają z uczestnictwa w stosunkach społecznych i sprawowaniu władzy „zwykłych obywateli”. Niemal doszczętnie zapełniają debatę publiczną, codzienne serwisy informacyjne najważniejszych – opiniotwórczych, w skali ogólnokrajowej – stacji radiowych, telewizyjnych i portali internetowych. Tłumią republikański duch aktywnego społeczeństwa – to ostatnie zdaje się potrzebne tzw. klasie politycznej tylko w postaci okaleczonej, wykastrowanej z woli działania, raz na cztery lata przy urnach wyborczych – a nie w codziennych praktykach spierania się o sprawy publiczne, demonstrowania, składania petycji itd. W świadomości społecznej utrwala się w rezultacie – znany z historii PRL-u i tylko na krótki czas pierwszej „Solidarności” zniesiony – podział na „my” – tu, „na dole”, widzowie

¹¹ Podaję za: D. LaCapra, *op. cit.*, s. 299. Więcej na temat źródeł ważności tej „wejściówki” pisze Pierre Bourdieu: „Intelektualista – wzorem jest tu Zola – to ktoś, kto na podstawie pewnego specyficznego autorytetu, który nabył w walkach w obrębie intelektualnego, artystycznego literackiego pola stosownie do wartości, mających ważność w obrębie tych względnie autonomicznych uniwersów, wkracza na pole polityczne na podstawie pewnego autorytetu, pewnego dzieła, pewnej kompetencji, pewnej cnoty i pewnej moralności” (P. Bourdieu, *Über den Staat. Vorlesungen am College de France 1989–1992*, Aus dem Französischen von Horst Brühmann und Petra Willim, Suhrkamp Verlag, Berlin 2014, s. 389-390).

¹² R. Legutko, *Triumf człowieka pospolitego*, Zysk i Ska, Poznań 2012, s. 174.

przedstawienia, i „oni” – aktorzy, tam na wysokiej scenie głównej, w Warszawie. Upartynienie życia politycznego przejawia się w usilnych staraniach o zredukowanie aktywnego zaangażowania w sprawy publiczne do działalności w ramach samych partii politycznych, poczynając od szczebla państwowego, społeczności ogólnopństwowej, a kończąc na lokalnej, na najmniejszych jednostkach politycznych, jakie obywatele zamieszkują – społeczności miejskiej, gminnej, nawet sąsiedzkiej – wszędzie bycie skutecznym w rozwiązywaniu kwestii publicznych ma być uwarunkowane udziałem w relacjach władzy, które są odbiciem aktualnego układu sił na szczeblu centralnym. Mentalność ta kształtuje nasze realia polityczne, w wymiarze społecznym ma natomiast swoje skutki uboczne w postaci chociażby ruchów obywatelskich – szczególnie w miastach – które są wyrazem zniechęcenia taką polityką, angażujące młodych ludzi – świadomych swojego braku wpływu na bieg spraw publicznych – do działań na rzecz zmiany najbliższego otoczenia, jego estetyzacji (np. ścieżki rowerowe), ale także sposobu zarządzania przeznaczonymi dla niego publicznymi pieniędzmi (tzw. budżet obywatelski). Nie zmienia to jednak faktu, że decydujący wpływ na kształtowanie rzeczywistości nadal mają partie, niezdolne do mobilizowania szerszej publiczności – aktywność, a właściwie p r a c ę społeczną rezerwujące dla swoich członków lub sympatyków. Stawka w grze demokracji pośredniej jest wysoka – za przynależnością partyjną idzie miejsce zatrudnienia, etat. I tak jest już na poziomie samorządów – największych naszych pracodawców. W komentarzach do kampanii przed wyborami samorządowymi – w czasie której piszę te słowa (listopad 2014) – przeczytać można dlatego uwagi typu: „Partie polityczne najczęściej nie wystawiają tam kandydatów pod własnym szyldem, co nie oznacza, że wybory te nie są partyjne. Lokalne środowisko doskonale wie, z którą partią sympatyzuje dany kandydat”¹³. Po ogłoszeniu wyników – tryumfują partie, dzielą między sobą łupy, a ze sfery publicznej znikają lokalni liderzy i społecznicy. Taka praktyka i wyobraźnia polityczna jak w soczewce skupia się w deklaracji, znalezionej w Internecie na chybił trafił, jednego z kandydatów na prezydenta Warszawy – przez media nagłaśnianego jako „młody-zdolny” polityk s o c j a l d e m o k r a c j i (!):

Warszawa jest w Polsce najbardziej dojrzałym politycznie miastem, a w rozwiniętych demokracjach wyborcy stawiają na partie, które są – a przynajmniej powinny być – profesjonalnymi organizacjami wyspecjalizowanymi nie tylko do zdobycia, ale i skutecznego sprawowania władzy. Tak jest we wszystkich rozwiniętych demokracjach zachodnich – w niektórych do tego stopnia, że tylko partie mają tam prawo do udziału w wyborach. Inna sprawa, że tam partie zabiegają o to, żeby pozyskiwać w swe szeregi lokalnych liderów i społeczników, a ci nie mają do tego obrzydzenia, jak często ma miejsce to u nas. Mam nadzieję, że to się zmieni, tym

¹³ *Eksperci: samorządowcy nie chcą do polityki centralnej; wolą realną władzę*, „Gazeta Wyborcza” 21.10.2014: http://wyborcza.pl/1,91446,16836843,Eksperci__samorządowcy_nie_chcą_do_polityki_centralnej_.html#ixzz3Hi4p8zBL (pobrano: październik 2014).

bardziej, że w samorządzie nie powinno się robić wielkiej polityki, tylko działać ponad podziałami dla realizacji konkretnych projektów.¹⁴

Jest to enuncjacja polityka, któremu partia nie zapewnia żadnego wsparcia intelektualnego – sytuacja dla naszej polityki typowa. I tak mamy tu niemal wszystko, co jest sprzeczne z demokratyczną kulturą polityczną i zabójcze dla aktywności obywatelskiej: przekonanie o „najbardziej dojrzałym” centrum politycznym oraz apologia tego, co nazywa się dziś postpolityką, czyli polityki sprostowanej do funkcji usługowych, techniczno-administracyjnych, która w rzeczy samej nie potrzebuje legitymizacji wyborczej, faktycznie ma ambicję bycia poza zasięgiem demokratycznej zasady zgody, odwołując się do ideologii (w praktyce: despotyzmu, oświeconego absolutyzmu) specjalistów i ekspertów. Przekaz wewnętrznie sprzeczny: nadawca namawia do wielkiej polityki partyjnej i kwestionuje jednocześnie jej sensowność na szczeblu lokalnym, wykazuje podziw dla obcych („tam” – tamtejsi „rozwinieci wyborcy stawiają na partie”), i ojcowskie połajanie dla swoich, o których głosy zabiega („u nas” – naszych „liderów i społeczników”) i których jednocześnie potępia za to, że mają do takiej polityki „obrzydzenie”. Powinni ją pokochać przez sam fakt jej – takich jak on polityków – istnienia.

Trudno więc dziwić się, że upartyjnienie polityki uważa się za źródło zła: niszczy demokrację, zabija ducha republikańskiego, prowadzi do alienacji ludzi władzy: sprzyja korupcji, klientelizmowi, arogancji i autorytaryzmowi spod znaku TKM-u; a według niektórych komentatorów jest nawet przyczyną „unicestwienia wspólnoty politycznej”¹⁵. Ten moment dostrzega także badacz ruchu społecznego „Solidarność”: „Szybko formujący się system partyjny – jak pisze – nie stał się do dziś rzeczywistym systemem politycznej reprezentacji interesów i poglądów zwykłych obywateli”. I dalej o historycznych przyczynach tego stanu rzeczy:

„Odgórnie” ustanowienie demokracji i przypisanie podstawowego znaczenia elitom w realizacji reform ustrojowych prowadziło do narastającej frustracji i niezadowolonia szerokich kręgów społecznych i to nie tylko tracących pracę robotników.¹⁶

¹⁴ Sebastian Wierzbiński, *Lewa strona medalu. Przed wyborami*, <http://www.ngp.westsidegroup.pl/str/tekst4219.html> (pobrano: październik 2014). Na marginesie: Dostępne szerokiemu odbiorcy informacje o działaniu partii w Polsce ograniczają się albo do przekazu propagandowego, albo do jakichś formułek z wypracowań/bryków z zakresu wiedzy o społeczeństwie, które kompletnie nie mają przełożenia na praktykę; przykładowo na platformie internetowej „wyborysamorzadowe2014.pl” mamy zakładkę „Partie polityczne w Polsce”, w ramach której poza słownikowym wyjaśnieniem pojęcia partii i informacją o ich prawnym w Polsce umocowaniu czytamy o „podziale organizacyjno-funkcyjnym” partii ilustrowanym takimi partiami, jak „niemieckie FDP”, „brytyjska Partia Pracy”, „Austriacka Partia Ludowa”, „niemieckie CDU, polskie PZPR” itp. Zob. <http://wyborysamorzadowe2014.pl/partie-polityczne/> (listopad 2014).

¹⁵ M. Król, *Polityka przede wszystkim*, [w:] Jaka wspólnotowość Polaków w XXI wieku?, Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową, Gdańsk 2010, s. 30. „Wspólnotę polityczną cechuje [...] wyznaczenie i akceptowanie długofalowych priorytetów. [...] priorytetem takim jest edukacja oraz nauka” (*ibidem*, s. 29). „Otóż polski system partyjny jest zły, skostniały, a idea reprezentacji (jak w całym świecie zachodnim) przeżywa zasadniczy kryzys. Partie nie formują wspólnoty politycznej ani nie sprzyjają jej budowaniu, lecz tylko niszczą jej resztki” (*ibidem*).

¹⁶ I. Krzemiński, *op. cit.*, s. 424.

Doświadczenie „zwykłych”, sfrustrowanych obywateli podzielają także akademicy. Gdyby Jürgen Habermas miał wyjaśnić ich/naszą sytuację, mówiłby zapewne o tym, że prywatne opinie akademików nie nabierają „krytycznej jawności” i nie przebijają się przez media do świata zewnętrznego – organizacji społecznych i instytucji państwowych. Pomijam sprawę mediów – pytam o postawę krytyczną, jej siłę przebicia i atrakcyjność w warunkach „pola” uniwersyteckiego, kontrolowanego przez „pole” polityczne.

Uniwersytet

Piszę o własnym świecie – jestem jego częścią. Mam więc naturalnie problem ze zdystansowaniem się wobec niego i siebie samego – w takiej sytuacji klasyk gatunku, Pierre Bourdieu, zamiast refleksji transcendentnej – czyli rozważań z punktu widzenia jakiegoś, przyjętego wcześniej, idealnego świata rodzimego – proponuje podjąć badania „warunków historycznych [mojej] własnej produkcji”¹⁷. A wszystko po to, żebym nazbyt nie lamentował i nie ulegał „narcystycznemu samozadowoleniu”. Zadanie trudne, ale nie niewykonalne.

Niepodległa Polska, z upartyjnioną polityką, od ćwierćwiecza nie stworzyła uniwersytetu, który byłby szkołą obywatelstwa. I to bynajmniej nie dlatego, jak sugeruje prawica, że stał się on areną sporów ideologicznych, na której nauki humanistyczne i społeczne miały jakoby zadeklarować swoje „żywe zainteresowanie uczestnictwem w procesie liberalno-demokratycznej zmiany”, wspierane w tym przez „resort nauki, rząd oraz instytucje ponadnarodowe”¹⁸. I również nie dlatego, jak chce inny autor o poglądach prawicowych, że „polska inteligencja jest leniwa i prowincjonalna”, a „pod pozorem walki o dobro ogólne mobilizuje się w obronie swoich grupowych interesów – czy chodzi tu o lustrację, o reformę uniwersytetów czy otwarcie zawodów prawniczych”¹⁹. To tylko zewnętrzne, naskórkowe oglądy zjawiska, raczej ilustracje „narcystycznego samozadowolenia” wybitnych naukowców.

Spory ideologiczne – na uniwersytecie u nas spektakularne – przeniosły się gościnnie – świątecznie – na place i ulice miast. Uniwersytet zamienił się za to w instytucję ociążałą, strukturalnie niesterowną, paradoksalną, rozdartą między dwukrotnie opozycyjne porządki racjonalności = logiki instytucjonalne. Obydwa silnie frustrujące. Pierwszy z nich nie jest do końca naszą specyfiką – chodzi

¹⁷ P. Bourdieu, *Homo academicus. Posłowie – Dwadzieścia lat później*, przeł. M. Janik, „Praktyka Teoretyczna”, 1 (7), 2013, s. 33. Czasopismo internetowe na stronie: http://www.praktykateoretyczna.pl/PT_nr7_2013_NOU/03.Bourdieu.pdf (pobrano: listopad 2014).

¹⁸ R. Legutko, *op. cit.*, s. 118.

¹⁹ Z. Krasnodebski, *Polska inteligencja jest leniwa i prowincjonalna*, „Fakt.pl.”, 19.01.2010, <http://www.fakt.pl/Krasnodebski-Polska-inteligencja-jest-leniwa-i-prowincjonalna-artykuly,62224,1.html> (pobrano: listopad 2014).

tu bowiem o zderzenie ekonomii z humanistyką, o traktowanie uniwersytetu jednocześnie jako instytucji niedochodowej oraz jako przedsiębiorstwa, rządzącego się logiką „kultury korporacyjnej”, zgodnie z którą nie liczy się jakość, lecz ilość – „»przerób«, efekt produkcyjny, wydajność, zyskowość”²⁰; jako tradycyjnej *universitas* oraz jako jednostki świadczącej usługi edukacyjne (sprowadzonej do rangi szkoły); jako systemu wiedzy eksperckiej (o charakterze uniwersalistycznym) oraz jako systemu dydaktycznego, nauki przełożonej na informację dostosowaną do lokalności (*ekspert vs. komunikator* – zrównoważony system tych elementów ma nawet tworzyć markę tzw. uniwersytetu posttradycyjnego w rozumieniu Anthony’ego Giddensa²¹).

Druga asymetria racjonalności – już nasza rodzima – polega na tym, że uniwersytet ma być instytucją autonomiczną, obszarem nieskrępowanego rozwoju nauki, konkurującej z jej światowymi, a to znaczy po prostu amerykańskimi, osiągnięciami. W swym samostanowieniu ma ona jednak podlegać kontroli państwa, prowadzonej przez Ministerstwo i powiązane z nim instytucje, takie jak CK, PKA czy NCN. Moja teza jest następująca: Decyzje o losach uniwersytetu jako instytucji, nie tylko w sensie organizacji nauki – jej systematyki: obszarów, dziedzin, dyscyplin – lecz także, nazwijmy to tak, jej istotności, czyli tego, co to w ogóle jest nauka, jakie są kryteria jej ewaluacji, a w dalszej konsekwencji także finansowania, nadal zapadają u nas centralnie, nadal funkcjonujemy w realiach centralizmu demokratycznego. I tak, dla przykładu, powstawanie nowych dyscyplin częściej jest u nas w rezultacie – uwagę ograniczam do nauk społecznych i humanistycznych – pochodną decyzji administracyjnych, poglądów i interesów wybranych uczonych mających w danym czasie dostęp do władz państwowych niż samej logiki rozwoju naukowego. Moimi ulubionymi ilustracjami tego mechanizmu jest tryb ogłoszenia przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego „nauk o polityce publicznej” odrębną dyscypliną oraz decyzja tegoż samego Ministerstwa o przeniesieniu nauk o polityce z dziedziny nauk humanistycznych do społecznych. Pisałem już o tym w innym miejscu²² – i nie chcę się powtarzać. Rzeczywistość jednak nadal zaskakuje i domaga się... obywatelskich komentarzy. Oto niedawny twórca wspomnianej dyscypliny dokładnie teraz, gdy piszę te słowa, pojawia się w mediach jako jeden z bohaterów skandalu, jakim stała się obrona pracy doktorskiej prezesa Business Center Clubu. Obrona z powodzeniem przeprowadzona przed komisją doktorską na Wydziale Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego, zaś w wyniku medialnego nagłośnienia w kilka miesięcy później odrzucona przez Radę tegoż Wydziału. O dysertacji media donosiły:

²⁰ P. Sztompka, *Uniwersytet współczesny; zderzenie dwóch kultur*, <http://kongresakademicki.pl/universytet-wspolczesny-zderzenie-dwoch-kultur/> (pobrano maj 2014 r.).

²¹ Zob. A. Ostrowski, *Uniwersytet jako przestrzeń konfliktu wiedzy i informacji. Przyczynek do analizy posttradycyjnego systemu eksperckiego*, [w:] G. Nowaczyk i D. Sobolewski (red.), *Marketing w szkole wyższej. Istota i znaczenie marki*, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Bankowej, Poznań 2013.

²² Zob. J. P. Hudzik, *Filozofia w zgiełku sfery publicznej*, „Filo-Sofija”, nr 24 (2014/1).

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że praca liczyła 187 stron, z czego zaledwie 50 było właściwą pracą naukową. Reszta to rekomendacje i bibliografia. Dziwi też fakt, że rozprawa była praktycznie pozbawiona przypisów, a doktorant nie przeprowadził żadnych badań empirycznych.²³

Wydarzenie samo w sobie – szczególnie dla akademików – zaiste nie jest ani czymś dziwnym, ani wyjątkowym – bardziej interesujący natomiast jest mechanizm, który przy jego okazji wyszedł na światło dzienne – obawiam się, że w sferze publicznej niestety przytłumiony przez osobę bohatera-doktoranta, skądinąd na pewno wybitną i zasłużoną dla toczących się u nas debat ekonomicznych. Otóż jednym z recenzentów rzeczonyj pracy z zakresu nauk o zarządzaniu jest ów twórca nauk o polityce publicznej. Krytyczne myślenie zmusza mnie do określenia jego pozycji instytucjonalnej w tzw. polu uniwersyteckim (do tego pojęcia jeszcze powrócę): jest to mianowicie nowo wybrany (w 2014 r.) przewodniczący Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego (wcześniej przewodniczący, a potem też i honorowy przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich), który w upublicznonym liście skierowanym do Pani Minister Nauki rozbijając szczerze tłumaczy „dlaczego on, inżynier elektronik z Politechniki, podjął się recenzowania pracy dotyczącej stosunków społecznych”:

Kierowałem się okazanym mi w przeszłości zaufaniem przez Rady Wydziałów kilku Uczelni i Centralną Komisję do spraw Stopni i Tytułów. Organy te, będąc poinformowane o moim dorobku, powierzyły mi bowiem w przeszłości opracowanie trzech recenzji doktorskich i czterech habilitacyjnych w dziedzinie nauk społecznych (wcześniej humanistycznych) oraz nauk ekonomicznych. W szczególności w okresie ostatnich lat Centralna Komisja powierzała mi kilkakrotnie obowiązki swojego recenzenta w odniesieniu do rozpraw habilitacyjnych w dziedzinie nauk społecznych.²⁴

Tak więc sytuacja jest jasna: w nauce polskiej mamy nadal do czynienia z centralnie sterowanym systemem, który zawiera w sobie wszystkie patologie tego rodzaju władzy. Ten sam autor, już w innym miejscu, przypisuje źródła pochodzenia tego systemu zarządzania szkolnictwem wyższym oraz związanych z nim „kulturowych wymogów”, Europie, choć w swoim tegorocznym wystąpieniu na Kongresie Kultury Akademickiej (Kraków, marzec 2014) nie precyzuje, w którym dokładnie kraju jest on stosowany tak jak u nas. Oto fragment jego wystąpienia:

Procesy wprowadzania zmian w systemie szkolnictwa wyższego inspirowane są m. in. podobnymi działaniami w Europie. Szczególnie dotyczy to procesów prowadzenia studiów. Nad kierunkami zmian w tym zakresie w Europie, władztwo mają ministrowie właściwi do spraw szkolnictwa wyższego, ale realne zmiany są wprowadzane przez jednostki uczelniane. Istotne znaczenie mają zatem relacje pomiędzy szkołami wyższymi a właściwym ministerstwem. Chodzi o to, żeby były

²³ A. Komosa, *Doktorat biznesmena – czyli jak Marek Goliszewski został naukowcem*, <http://natemat.pl/117239,doktorat-biznesmena-czyli-jak-marek-goliszewski-zostawal-naukowcem> (pobrano: październik 2014).

²⁴ Cyt za: A. Kublik, *Za co ma dostać doktorat szef BCC? Recenzenci: Praca ma wady, ale autor jest wybitny*, „Gazeta Wyborcza” 08.10.2014, wydanie elektroniczne: http://wyborcza.pl/1,75478,16768682,Za_co_ma_dostac_doktorat_szef_BCC__Recenzenci__Praca.html#ixzz3HSPM1aFV

przestrzegane przez te strony pewne kulturowe wymogi takich relacji, kształtowane przy poszanowaniu, konstytucyjnej w naszym kraju, zasady autonomii uczelni. Odwołując się do dotychczasowych doświadczeń możemy stwierdzić, że potrzebne są większy zakres zaufania, większy stopień samoregulacji, ale i większa otwartość na zmiany oraz większa elastyczność, także w samych uczelniach.

Nagromadzenie tzw. pustych znaczących – czyli pozbawionych znaczonego, niedających się wypełnić konkretną treścią – to jeden z klasycznych perswazyjnych zabiegów językowych, nastawionych nie tyle na zrozumienie, ile na przychylny odbiór. Rzecz jednak nie tylko w retoryce. Zaprezentowana perswazja nie jest neutralna politycznie: autor, formalnie wybrany na przewodniczącego RGNiSW m.in. przez takie instytucje jak KRASP czy PAN, przemawia w imieniu mocodawców tychże instytucji: „właściwego ministerstwa” – „istotne znaczenie mają relacje...”, „chodzi o to, żeby były przestrzegane...”, „potrzebne są...” – i jego poglądy i interesy przedstawia jako ucieleśnienie owych pustych znaczących – które odnoszą się do porządku wspólnotowego: całego środowiska akademickiego – przez co, jak powiedzieliby niektórzy lewicowi teoretycy polityki, hegemonizuje je²⁵, stabilizuje dyskurs publiczny na temat uniwersytetu, nadaje mu znamiona „obiektywności”. Centrum w procesie konstytuowania społecznej tożsamości uniwersytetu jest rząd – strukturalna relacja między nim a innymi podmiotami, podejmującymi dyskurs uniwersytecki, jest niesymetryczna: „władztwo mają ministrowie”. To oni przejmują inicjatywę w narzucaniu znaczeń takim abstrakcjom, jak: „większy stopień zaufania” i „większy stopień samoregulacji”, „większa otwartość” i „elastyczność”, czy wreszcie „władztwo ministerstw” – uznanie konstytutywnego charakteru tych treści oznacza przyznanie prawa do pełnej władzy rządowi, co koliduje nie tylko z ideą autonomii uniwersytetu, lecz w ogóle z ideą demokracji i społeczeństwa obywatelskiego.²⁶ Środowisko akademickie w rezultacie ulega konstruktywnemu działaniu magii symulaków, fikcyjnych obrazów, zbitek słownych typu „a tak w ogóle efektywność naukowa humanistów mierzona parametryzacją odsłania brak strategii lokowania swoich publikacji głównie w dobrych czasopismach”²⁷,

²⁵ Zob. E. Laclau, Ch. Mouffe, *Hegemonia i socjalistyczna strategia. Przyczynek do projektu radykalnej polityki demokratycznej*, przeł. S. Królak, Wydawnictwo Naukowe DSW E TWP, Wrocław 2007.

²⁶ Piotr Sztompka w swoim wystąpieniu na otwarciu tegoż samego Kongresu Kultury Akademickiej, o którym mowa, do audytorium z udziałem minister nauki: „Ostatnie dekady przynoszą groźną erozję kultury akademickiej, dryfujemy w stronę zupełnie odmiennej kultury korporacyjnej. Mówiąc przenośnie, w miejsce wspólnoty rozumu pojawia się przedsiębiorstwo przerebu studentów, a zamiast świątyni wiedzy – administracyjny biurowiec. To właśnie jest źródło szeroko odczuwanego w środowisku kryzysu idei uniwersytetu i instytucji uniwersytetu, a w szerszym społeczeństwie – powód dramatycznego spadku zaufania do nauki”. I jeden z symptomów „tej fatalnej sytuacji”: „Członkowie uniwersyteckiej wspólnoty coraz częściej przestają być samodzielnie i swobodnie działającymi podmiotami decydującymi o kierunku, rytmie, czy czasie twórczej pracy i przed samymi sobą odpowiedzialnymi za jej wyniki, a stają się zwykłymi pracownikami najemnymi, wykonującymi jakieś z góry narzucone i zaplanowane zadania, podejmującymi tematy gdzieś wymyślone i preferowane w finansowaniu, a w dydaktyce zamiast własnej inwencji, rzetelności i perswazyjności mają kierować się setkami ponumerowanych punkcików narzuconych przez Krajowe Ramy Kwalifikacji” <http://kongresakademicki.pl/wystapienie-otwarcie-kongresu-kultury-akademickiej/> (pobrano: listopad 2014).

²⁷ To relacja z Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich z kwietnia 2014 – opinia jednego z nich – fizyka-informatyka. Cyt. za: A. Kokowski i R. Litwiński, *Czy humanistyka umiera?*, „Wiadomości Uniwersy-

które zewnętrznemu obserwatorowi, operującemu zdrowym rozsądkiem, zdają się szumem informacyjnym lub inaczej: bełkotem (tu akurat miesza się kryteria stosowane do ewaluacji nauk przyrodniczych i humanistycznych). O absurdach reform narzucanych przez MNiSW sporo już powiedziano i napisano – niewiele jestem w stanie dodać do miażdżących opinii, jakie w różnych, rozproszonych miejscach można spotkać. Do niektórych z nich jeszcze się odwołam. Nie zmienia to jednak zasadniczo rozkładu sił na polu bitwy o tożsamość uniwersytetu. Rząd i jego administracja nadal mogą swobodnie swoje partykularne interesy przedstawiać jako wypełnienia kolejnych produkowanych przez siebie pustych znaczących, takich, jak „efekty kształcenia”, „potrzeby studentów” czy „etyka”. Posłuchajmy jeszcze jednego fragmentu tego samego kongresowego przemówienia:

Atrakcyjność studiów wymaga m.in. nowoczesnej formuły programowej i organizacyjnej procesu kształcenia, z odwoływaniem się do jego efektów. Droga do osiągnięcia tego celu prowadzi poprzez zapewnienie systemowi studiów niezbędnej elastyczności, sprzyjającej jego otwartości na zróżnicowane potrzeby studentów, co z kolei ułatwia internacjonalizację procesu kształcenia. Ponadto, w swych strategiach i związanych z tym działaniach uczelnie muszą z determinacją walczyć z patologiami procesu studiowania (np. ściąganie, nieoryginalność prac studenckich, zaniżanie wymagań wobec studiujących itd.). Ma to ogromne znaczenie dla etycznych podstaw działania i wizerunku szkoły wyższej.²⁸

Ta sama sytuacja. Quasi-urzędnicza, pusta retoryka i moralizatorski żar – a wszystko to tylko po to, żeby ukryć fakt, że poza procesem kształcenia jest jeszcze proces zarządzania nim, ten zaś opiera się już na pozaurzędniczym „zaufaniu”. Do zdefiniowania tego pojęcia autor, jak pamiętamy z jego listu, wykorzystał największe autorytety instytucjonalne w obrębie pola uniwersyteckiego (Rady Wydziałów, Centralna Komisja), ujawniając przy tej okazji, że ich „hegemonia” sprzyja moralnemu deprawowaniu środowiska, oznacza funkcjonowanie na granicy prawa, jeśli wręcz nie jego łamanie. Taki porządek hegemoniczny – system zarządzania szkolnictwem wyższym – prowadzi nas zatem nie tyle do Europy, przynajmniej tej, do której rościmy sobie ambicje, nawet – spotęguję skalę porównawczą – gdyby miała być to Europa z czasów średniowiecznych, z jej nastawieniem na autorytet i autonomię uniwersytetu – to przecież źródła „kulturowych wymogów” kształtowania relacji między uczelnią a „władcą”, o których mowa – ile ku praktykom korporacyjno-mafijnym. A to już jest zupełnie inna klasyfikacja zjawiska. Powracam tym samym do cytowanego wcześniej listu – jego adresatem jest Ministerstwo, dla którego, jak powszechnie wiadomo, „nauka amerykańska” ma dostarczać wszelkich parametrów do pomiarów naszych własnych wyczynów naukowych – mierzy się je więc u nas, w przypadku publikacji w czasopiśmie,

teckie”, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin, kwiecień-maj 2014, s. 42. Zob. dostępne w sieci opisy „wewnętrznych systemów zapewniania jakości kształcenia” na poszczególnych uniwersytetach!

²⁸ Obydwa cytaty: J. Woźnicki, *Uniwersytet jako kreacja instytucjonalna ambicji twórców i oczekiwań interesariuszy – w kierunku zmiany nieniszczącej*, <http://kongresakademicki.pl/uniwersytet-jako-kreacja-instytucjonalna-ambicji-tworcow-i-oczekiwan-interesariuszy-w-kierunku-zmiany-nieniszczacej/> (pobrano: listopad 2014).

według współczynnika wpływu, *impact factor*, znajdujących się w bazie Journal Citation Reports, w przypadku samych uczelni według szanghajskiego lub U.S. News and World Report rankingu światowych uniwersytetów, w których pierwsze miejsca zajmują uniwersytety amerykańskie, itd. Jest w tym naszym iluzorycznym wyścigu z Ameryką przynajmniej jeden problem, którego dziwnym trafem nie dostrzega grono polityków i uczonych wzajemnie obdarzających się zaufaniem w Warszawie: jeśli wierzyć Andrzejowi Walickiemu, a ja mu wierzę i mam ku temu powody, to jakiegokolwiek ingerencje rządu federalnego USA w sprawy uniwersytetów – stanowych czy prywatnych – byłyby tam uznane „za koniec wolności akademickiej, początek totalitaryzmu”²⁹. U nas zaś nadal wolność akademicka to tyle, co zrozumienie... konieczności? Gdzie tu więc miejsce na krytyczne intelektualne obywatelstwo?

Demobilizacja

Władzę akademicką dystrybuują u nas instytucje państwowe (stopnie, tytuły, granty) – produkowana w uczelniach wiedza społeczna służy więc także państwu, jego urzędnikom i politykom. Zapotrzebowanie wśród polityków na uczonych analityków i doradców ma podwójną motywację: raz chodzi im o ich wiedzę (instynkt samozachowawczy mówi im, że „nie możemy sprawować władzy inaczej niż wytwarzając prawdę” – to Michel Foucault), dwa: potrzebują ich statusu niepolityczności (tu Stanisław Ossowski: „władza posługuje się nauką tak, jak pijak latarnią – nie po to, aby się oświecić, lecz po to, żeby znaleźć podparcie”).

Dyskurs publiczny inicjowany przez polityków i urzędników państwa – wspólny z tej klasy uczonymi, co przywołany tu recenzent doktoratu, zaangażowanymi przez kolejne administracje rządowe – ukrywa wskazane sprzeczności oraz powiązane z nimi interesy. W interesie władzy jest spacyfikowanie świata akademickiego przez jego demobilizację – co daje jej jakąś gwarancję kontroli nad tym dyskursem, a w rezultacie pozwala utrzymać w dłuższym okresie czasu system partyjny, układ sił (personalny skład elit politycznych przez dwadzieścia pięć lat pozostaje u nas właściwie ten sam – w grę wchodzi jedynie naturalne odejścia). I to jej się najwyraźniej udaje. Fakty są takie, jak pisze jeden z socjologów, pracujący skądinąd na uniwersytecie niemieckim:

W Niemczech rozgraniczenie między władzą a myślą jest znacznie wyraźniejsze niż w Polsce. Zawód polityk jest bardziej sprofesjonalizowany – politycy pną się po szczeblach partyjnej kariery, która różni się od kariery – powiedzmy – uniwersyteckiej. W Polsce jednak inteligencja jest mocno powiązana ze strukturami władzy,

²⁹ A. Walicki, *Najświętszy sojusz biurokracji z rynkiem*, http://wyborcza.pl/magazyn/1,132938,14014327,Nieswiety_sojusz_biurokracji_z_rynkiem.html (pobrano październik 2014)

ma wpływ na sprawy publiczne, albo sama stanowi zaplecze rządzących. To widać po ilości profesorów w rządzie czy Sejmie.³⁰

Trafna obserwacja, ale chybiona interpretacja zjawiska. Powiązanie „inteligencji” (dystynkcję między „intelektualistami” a „inteligentami” autor pomija, zapewne dla jasności artykułu prasowego) ze strukturami władzy politycznej to raczej jedna z technik demobilizacji środowiska akademickiego, którą, jak widać, z powodzeniem ta władza u nas stosuje. W Niemczech profesorowie nie muszą sami stać się profesjonalnymi politykami, żeby mieć wpływ na sprawy publiczne – wystarczy, że mają media publiczne szeroko na nich otwarte, wystarczy, że mają także do dyspozycji liczne fundacje wspierające naukę (w tym również i te należące do partii politycznych), wydawnictwa... (Chętnie szczegółowo udokumentowałbym te twierdzenia, ale to wymagałoby już osobnego, bardziej faktograficznego opracowania.) To różnica zasadnicza między nami i nimi – o czym cytowany socjolog wie lepiej niż piszący te słowa. Mowa tu o uwarunkowaniach, które – korzystając z metaforyki Bourdieu – oddziałują na „pole” uniwersyteckie, a to znaczy na przestrzeń możliwości działania podmiotów naukowych, wraz z nimi na kształtowanie języków, jakich one używają w tej przestrzeni, oraz kategorii i form jej postrzegania i oceniania³¹. Nasi politycy i urzędnicy państwowi wykorzystują ten sam mechanizm konstrukcyjny, zamiast jednak stwarzać dla nauki tego rodzaju uwarunkowania społeczne, co ich partnerzy niemieccy czy amerykańscy, koncentrują się na zupełnie innych uwarunkowaniach – tych mianowicie, które sprzyjają demobilizacji jej środowiska. W tym celu stosują m.in. politykę wrogiego przejęcia akademików – ten sam mechanizm *mutatis mutandis* wykorzystują wobec środowiska dziennikarskiego, o czym w dygresji za chwilę – zapewniając sobie ich lojalność, a co za tym idzie także możliwość sterowania debatą publiczną wokół uniwersytetu. To system, który preferuje więc jednostki konformistyczne, intelektualistów, którzy nie będą krytykowali skłonności państwa do biurokratyzacji nauki i nie dopuszczą do mobilizacji środowiska wokół sprzeciwów wobec jej niszczycieli.

Dygresja: Aktywność demobilizacyjna instytucji państwa wymierzona w potencjalnych ich krytyków przenika na co dzień sferę komunikacji społecznej. Oto niewinne zdawałoby się informacje o zdarzeniach, które odbiorca mediów oddziela od siebie – a krytyk społeczny chce (ma obowiązek) połączyć w systemowym przedstawianiu rzeczywistości. W świątecznych – 11 listopada 2014 r. – wiadomościach w pierwszym programie telewizji publicznej pojawia się krótki materiał o sukcesach „nauki polskiej”: dwoje archeologów, dwie beneficjentki grantów w naukach stosowanych – i informacja, że jest dobrze, że młodzi nie muszą już wyjeżdżać za granicę, by uprawiać wielką naukę, że studenci-magistranci mogą ubiegać się o granty w wysokości 200 tys. złotych. Koniec. Wartość informacyjna takiego materiału dorównuje broszurze wyborczej, która

³⁰ Z. Krasnodębski, *op. cit.*

³¹ Zob. na temat pojęcia „pola”: P. Bourdieu, *Reguły sztuki...*, s. 352-354, 362.

donosi, że każdy obywatel ma szansę na wygraną w totolotka – może więc zostać milionerem, niektórym już się to nawet udało. *Ergo* – powinien dlatego pozostać w kraju! W tym samym serwisie informacyjnym dowiadujemy się, że Prezydent RP – wcześniej skądinąd, w marcu 2014 r., nagrodzony przez Akademię Telewizyjną, należąca do TVP, „za całokształt działalności”, o czym prezenter już nie wspomina – nagradza m.in. dziennikarzy „za służbę państwu i społeczeństwu”: prezentera TVP i publicystę „Polityki”, stałego komentatora w TVP – w całym prawie 40-milionowym kraju nie pojawił się żaden inny „zasłużony” dziennikarz, ani w Przemysłu, ani w Nowym Sączu! Ale to chyba nie najważniejszy problem, jaki niesie z sobą to wydarzenie. Skądinąd – już nie z omawianego programu – można się dowiedzieć, że ten sam Prezydent parę miesięcy wcześniej (w czerwcu 2014 r., niemal dokładnie na rok przed wyborami prezydenckimi) nagradza orderami kolejnych dziennikarzy – w stanie ich aktywnego życia zawodowego, a nie po budzącym uczucie niepowetowanej straty zejściu z tego świata – prezenterów i redaktorów największych, najbardziej opiniotwórczych stacji telewizyjnych i czasopism społeczno-politycznych w kraju (Polsat, TVN, „Newsweek Polska”, „Rzeczpospolita”, „Gazeta Wyborcza”) „za działalność na rzecz wolności słowa”, ewentualnie – w jednym przypadku – „za wybitne zasługi w budowaniu niezależnej prasy w Polsce, za pielęgnowanie wartości, jakie legły u podstaw polskich przemian demokratycznych...³² I jeszcze jedno – następnego dnia, już na innym kanale telewizyjnym, oglądałem po raz kolejny „Wszystkich ludzi prezydenta” (Alan J. Pakuła 1976) – i musiałem zadać sobie pytanie, czy przedstawieni tam amerykańscy dziennikarze także otrzymali nagrodę „za służbę państwu” od swojego prezydenta? Odpowiedź znalazłem dość szybko w jednym z opracowań ich – amerykańskiej – etyki dziennikarskiej, w którym już na pierwszych stronach przeczytałem, co następuje:

Najsłabszą motywacją [w zachowaniu dziennikarzy – J.P.H.] bywa prestiż, jednakże na dłuższą metę staje się to dla jednostki sprawą najważniejszą. Przecież pieniądze odgrywają najmniejszą rolę przy nagrodzie Pulitzera. W kształtowaniu etycznych postaw profesjonalistów wielką rolę odgrywałoby nagradzanie wybitnych przykładów odpowiedzialnego zachowania dziennikarza. Licem Pierwszej Poprawki do Konstytucji jest wolność słowa, a rewersem odpowiedzialność. Nagradzając odpowiedzialność profesja składałaby hołd wolności.³³

Nasi nagrodzeni dziennikarze, inaczej niż ich starsi koledzy z „Washington Post”, Bob Woodward i Carl Bernstein, złożyli więc hołd wolności – stali się wasalami nagradzających ich polityków, wobec nich zaciągnęli dług wdzięczności, im winni więc teraz lojalność zamiast interesowi publicznemu. Tego typu praktyki, zdaje się powszechnie u nas akceptowane – skoro żadne wielkie medium opiniotwórcze przeciw nim nie protestuje, nie podnosi larum, zatrudniając na etatach „wszystkich ludzi prezydenta” – to oryginalny polski wkład na rzecz rozwoju idei demokracji, ufundowanej na wolności słowa i prasy, jak uczy wspomniana Poprawka I z 1791 roku. Koniec dygresji.

³² Zob. informację na ten temat: *Kpina z wolności słowa. Komorowski odznaczył orderami Lisa, Gugale i Miszczaka*, <http://niezalezna.pl/56070-kpina-z-wolnosci-slowa-komorowski-odznaczy-l-orderami-lisa-gugale-i-miszczaka> (pobrano: listopad 2014).

³³ W. L. Rivers, C. Mathews, *Etyka środków przekazu*, przeł. J. Zakrzewski i E. Krasnodębska, Ars Polona, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1995, s. 16.

Wracam do tematu filozofii rządzenia zorientowanego na demobilizację środowiska akademickiego. Wystarczy w tym celu utrudniać mu skoncentrowanie się na sobie i rozpoznawanie własnych problemów. Idzie za tym deformowanie dyskursu publicznego. „Niewidzialna” władza strukturalna staje się widzialna w dyskursie jako sposobie opisu i regulacji tożsamości „pola” uniwersyteckiego. Mechanizm kontroli państwa nad nim wygląda u nas mniej więcej tak: jeśli będzie się trzymało akademików z dala od ich własnych problemów – związanych z istotnym dobrem, jakim jest nauka – za pomocą kreowanych przez rząd i jego reżymowych, w r o g o p r z e j ę t y c h , intelektualistów, pseudoproblemów – rzeczonych łami-główek, w których „czystą” naukę należy powiązać z lokalnym rynkiem pracy, a uczenie studentów samodzielnego myślenia z systemem sylabusów według tzw. Krajowych Ram Kwalifikacyjnych – to rząd będzie miał spokój i nie będzie miał się czego ze strony akademików obawiać.

Strukturalna niesterowność systemu

Rządzący, o których mowa, zamiast służyć wspólnocie akademickiej, mają ambicje jej formowania. Tworzą w tym celu mit jedności systemu – wszyscy akademicy mają te same szanse, są tak samo, na tych samych prawach, finansowani i traktowani. Jednocześnie ci sami rządzący używają technik służących do marginalizowania środowiska akademickiego – chodzi tu o biurokratyzację nauki, ale także o demobilizację jej środowiska poprzez zapobieganie wytworzeniu przez nie własnej wersji samego siebie. Zapobieganie jego mobilizacji wokół sprzeciwu wobec oficjalnych języków na jego temat narzucanych przez instytucje państwa i ich urzędników, które/którzy zniekształcają rzeczywistość, posługują się fałszywymi/iluzorycznymi jego obrazami, mającymi na celu zapewnienie hegemonii – panowania i dominacji centrum.

Oto dowolnie wybrany paragraf z Rozporządzenia Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego (z dnia 13 lipca 2012 r.) „w sprawie kryteriów i trybu przyznawania kategorii naukowej jednostkom naukowym”, który demonstruje absolutne władztwo administracyjne ministerstwa nad podległymi mu podmiotami:

§ 15.1. „Ważona liczba publikacji, o których mowa w § 8 ust. 1 pkt 1-5, oraz liczba pozostałych osiągnięć naukowych i twórczych, o których mowa w § 8 ust. 1 pkt 6-10, uwzględnianych przy kompleksowej ocenie łącznie, nie mogą być większe niż $3N$, gdzie N jest średnią arytmetyczną, z okresu objętego ankietą, liczby pracowników zatrudnionych w jednostce naukowej w poszczególnych latach przy realizacji badań naukowych lub prac rozwojowych w ramach stosunku pracy, w przeliczeniu na pełny wymiar czasu pracy, w odniesieniu do całorocznego okresu zatrudnienia [...].

I jeszcze ten sam paragraf ustęp 3, który ma wyjaśnić magiczną liczbę „ $3N$ ”:

Liczbę $3N$, o której mowa w ust. 1, pomniejsza się o liczbę $2N_0$, gdzie N_0 jest liczbą pracowników, w przeliczeniu na pełny wymiar czasu pracy, uwzględnianych przy określaniu liczby N zgodnie z ust. 1, którzy byli zatrudnieni w jednostce naukowej przez cały okres podlegający kompleksowej ocenie i nie byli autorami lub współautorami osiągnięć naukowych lub twórczych, o których mowa w § 8 ust. 1. Liczba N_0 nie obejmuje pracowników inżynierijnotechnicznych. (DzU 2012, poz. 877)

Czytając tego rodzaju tekst, nie mogę uwolnić się od natrętnej myśli, poejrzenia, że to może jakaś prowokacja, złośliwa hakerska robota kabareciarzy. Ale szybko wracam na ziemię. Rozporządzenie ministra to sprawa poważna, akt wykonawczy – wydany w celu wykonania ustawy – który ma bezpośrednie przełożenie na funkcjonowanie wszystkich odnośnych instytucji. Rzecz w tym jednak, że poza zapewne nieliczną w skali całego kraju grupą prawników, specjalizujących się w prawie szkolnictwa wyższego, nikt z regularnych, że tak powiem, akademików – z humanistów absolutnie nikt! – piastujących funkcje dziekańskie czy rektorskie, nie jest w stanie poradzić sobie z takimi przepisami i poprawnie przygotować stertę dokumentów – wypełnić „ankietę” – zgodnie z oczekiwaniami Ministerstwa. A skoro tak, to ostatecznie los „jednostki naukowej”, jej być albo nie być – przypomnę, że za kategoryzacją idzie finansowanie – spoczywa w rękach władzy: w dobrej lub złej woli jej urzędników i akolitów-współpracowników, w pozalegalnym „zaufaniu”, jakim darzą lub nie darzą oni swoich ocenianych kolegów. Skutkuje to wszystko strukturalną niesterownością systemu – z kilku powodów. Po pierwsze, z uwagi na pewną socjotechniczną prawidłowość. Otóż paradoks opisywanego stanu rzeczy polega na tym, że im bardziej system nauki i szkolnictwa wyższego jest racjonalizowany, szczegółowo regulowany administracyjno-prawnie, tym bardziej staje się on autodestrukcyjny, zagrożony implozją, tym mniej działa na rzecz autonomii swoich funkcjonariuszy, tym mniej może opierać się na ich wiedzy i sumieniach. Syndrom „zaufania”, który, jak widzieliśmy, zaczyna im dolegać, czerpie swoją racjonalność za każdym razem z aktualnego układu interesów leżących u podstaw ich środowiska. Po drugie, niesterowność systemu zarządzania nauką bierze się także z przyczyn *stricte* merytorycznych: zakładane w ustawie i innych dokumentach rządowych wymagania (organizacji, finansowania, ewaluacji, metodologii), jakie stawia współczesna wiedza ekspercka, są nie do pogodzenia z wymaganiami wynikającymi z nadal jeszcze tradycyjnej konstrukcji naszego uniwersytetu. Wyzwania, przed jakimi staje dziś „nauka światowa”, biorą się z jej zainteresowań hybrydowymi formami życia i bycia, tym, co heterogeniczne, gatunkowo nieczyste itd., oraz odnośnymi badaniami inter-, trans-, „w poprzek” dyscyplinarnymi. Co więcej, to po trzecie, jeśli wymagania wiedzy eksperckiej wiązać ze standardami takiej właśnie nauki, na które powołują się przecież dokumenty MNiSW i instytucji z nim związanych, to standardy te są niekompatybilne z naszymi własnymi – i to nie tylko z naszą polityką finansowania nauki i jej ewaluacji, lecz także z polityką zatrudnienia na uniwersytetach, z modelem akademickiej kariery zawodowej itd.

Niesterowny system nie ma komunikacji wewnętrznej ani zewnętrznej – nie jest więc w stanie stworzyć sfery publicznej, odwołać się do publiczności zastępy w bezpiecznym dla władzy obrazie nauki polskiej ścigającej się o palmę pierwszeństwa z amerykańską, nie jest w stanie wyzwolić myślenia krytycznego, w rezultacie nie ma także zdolności do rozpoznawania siebie – nasz świat akademicki nie potrafi stworzyć jakiejś spójnej „koncepcji siebie”. Obowiązują tu znane prawidłowości – przynajmniej dwie. Pierwsza z nich mówi o tym, że system, który preferuje jednostki konformistyczne, nie otrzymuje korygującej informacji zwrotnej – ulega w rezultacie dezintegracji i staje się niezdolny do autosterowania. Centralne decyzje kolidują ze zdeintegrowanymi narzędziami regulacji – powiedzmy takimi produktami myśli reformatorskiej jak na przykład Krajowe Ramy Kwalifikacyjne³⁴ – w rezultacie czego „na dole” opiniowane są jako „kosmicznie idiotyczne”, oderwane od rzeczywistości, z instytucjonalnego przymusu domagające się jednak realizacji „na papierze”. Drugą prawidłowość opisał Pierre Bourdieu, według którego „to nie stanowisko polityczne determinuje stanowisko w kwestiach uniwersyteckich, lecz pozycje w polu uniwersyteckim określają zarówno stanowiska wobec polityki jako takiej, jak i wobec problemów uniwersyteckich”³⁵. Krótko mówiąc, lęki i obawy przed zmianą pozycji – stanowisk i funkcji – w polu akademickim decydują o dopasowywaniu się ich beneficjentów do bieżącej polityki rządu, także tej dotyczącej szkolnictwa wyższego. Jak widać, takie właściwości adaptacyjne wykazują nie tylko nasi rodzimi akademicy – niewielkie to wszak pocieszenie.

Oto przykład zderzenia języka oficjalnego – politycznie poprawnego i pożądanego – oraz krytycznego, obywatelskiego. Zacznę od cytatu z publikacji – określam jej pozycję w polu uniwersyteckim – „sfinansowanej z funduszy Komisji Europejskiej w ramach programu »Uczenie się przez całe życie«”, autorstwa współpracownika KRASP (Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich), pełniącego także funkcję jej Sekretarza Generalnego³⁶:

Proces boloński nie jest synonimem wszystkich obserwowanych tendencji i zmian (pozytywnych i negatywnych) zachodzących w europejskim szkolnictwie wyższym. Niektóre problemy utożsamiane – m.in. przez przedstawicieli środowiska akademickiego przeciwnych wszelkim zmianom – z Procesem Bolońskim mają z nim w istocie jedynie luźny związek. Przykładem jest przejście od kształcenia elitarnego do kształcenia „masowego” i związany z tym problem „znalezienia” odpowiednich środków finansowych, niezbędnych do pokrycia kosztów kształcenia

³⁴ Piotr Sztompka zalicza ten dokument do kategorii „wirusa korporacyjnego, który – jak pisze – zatrąwa organizm uniwersytecki [...] w obszarze dydaktyki”. Dalej socjolog pisze: „słynne Krajowe Ramy Kwalifikacji, wyliczone w setkach punktów i podpunktów i wskazujące drobniagzowe efekty dydaktyczne. Wypełniamy te absurdalne tabelki śmiejąc się do rozpuku, bo zamiast nich wystarczyłoby proste sformułowanie: »nauczycy studentów myśleć«” (P. Sztompka, *Uniwersytet współczesny; zderzenie dwóch kultur...*).

³⁵ P. Bourdieu, *Homo academicus...*, s. 40.

³⁶ Zob. Informator KRASP, opracowanie A. Kraśniewski i K. Frankowicz, Kraków 2009, s. 16. Informator na stronie internetowej: file:///C:/Users/admin/Downloads/informator_krasp_2008_2012.pdf (pobrano: listopad 2014). Zob. też władze KRASP w 2014 roku: http://www.krasp.org.pl/pl/wladze/wladze_krasp (pobrano: listopad 2014).

znacznie zwiększonej liczny studentów, a także problem zapewnienia odpowiedniej jakości świadczonych usług edukacyjnych w warunkach masowości kształcenia. Proces Boloński, w tym wprowadzenie studiów dwustopniowych, jest próbą rozwiązania tych problemów, a nie – jak twierdzą przeciwnicy reform – ich źródłem.³⁷

Język perswazji, dyskredytujący oponentów, czytelny, niewyszukany. Potencjalni krytycy, „przedstawiciele środowiska akademickiego” to „przeciwnicy wszelkich zmian”, „przeciwnicy reform” – autor, wypowiadający się w imieniu władzy politycznej w tym samym stylu, co prezentowany wcześniej recenzent doktoratu, jest za reformami, co ma konotacje zdecydowanie pozytywne. To jasne. Tak się złożyło, że ten sam autor występuje jako główny krajowy ekspert do spraw reformy studiów wyższych – na stronie internetowej MNiSW, w zakładce „Krajowe Ramy Kwalifikacji”, znaleźć można link do jego publikacji z 2011 r. pt. *Jak przygotować programy kształcenia zgodnie z wymaganiami wynikającymi z Krajowych Ram Kwalifikacji dla Szkolnictwa Wyższego* ze słowem wstępnym urzędującej minister. Jest to kolejny tekst z gatunku tych najprostszych, szkolnych, obnażających się bezwólnie przed krytyczną analizą dyskursu, mającą ujawniać mechanizmy językowe wykorzystywane przez aparat władzy do wywierania wpływu na rządzonych, zwodzenia i uwodzenia ich. Weźmy przykładowo dwa zdania z tego ministerialnego opracowania:

Podejmowanym na szczeblu centralnym decyzjom i działaniom o charakterze legislacyjnym i administracyjnym towarzyszą liczne inicjatywy aktywizujące i wspierające środowiska i instytucje (przede wszystkim uczelnie), które mają te decyzje wdrażać. Obok „zarządzania zmianą” realizowany jest więc proces „zarządzania zmianą”.³⁸

Widać jak na dłoni, że przenikają się tu dyskurs administracyjno-prawny – nakładający na odbiorcę obowiązki określone przez „podejmowane na szczeblu centralnym decyzje i działania” – z dyskursem politycznym: władztwo administracyjne, zbudowane na nierówności podmiotów (nadawcy i odbiorcy), łagodzone jest przez siłę perswazji, mówiącej o ich równości: zarządzany nadal zachowuje autonomię („liczne inicjatywy...”) – i sam sobą zarządza. Gra językowa – ostatnie zdanie – to czysty zabieg manipulacyjny, dokładnie o tym samym znaczeniu, co „centralizm demokratyczny”. Demaskacja dziecinnie prosta – choć tekst porażająco skuteczny. Posłuchajmy tych, którzy stawiają opór propagandzie – wywołanych „przeciwników reform”, przykładowo Zespołu Redakcyjnego „Krytyki Politycznej”, zabierających głos w publikacji wydanej – znów cytuję – „w ramach projektu

³⁷ A. Kraśniewski, *Proces Boloński. To już 10 lat*, Warszawa 2009, s. 8. Tekst na stronie internetowej: http://ekspercibolonscy.org.pl/sites/ekspercibolonscy.org.pl/files/proces_bolonki_FINAL.pdf (pobrano: listopad 2014).

³⁸ A. Kraśniewski, *Jak przygotować programy kształcenia zgodnie z wymaganiami wynikającymi z Krajowych Ram Kwalifikacji dla Szkolnictwa Wyższego*, Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Warszawa 2011, s. 14 (Publikacja współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego.). Zob. http://www.nauka.gov.pl/g2/oryginal/2013_05/66ac97d0be9ed5ecc5e62b50fbd41d21.pdf (pobrano: listopad 2014).

»Etos zaangażowania« dofinansowanego w ramach Programu Operacyjnego Funduszu Inicjatyw Obywatelskich»:

Planowane reformy wpisują się w szerszą strategię zamieniania wyższych uczelni w jeden z trybików w maszynierii produkującej wzrost gospodarczy. Temu służy wdrażany w całej Unii Europejskiej proces boloński, o którego wprowadzeniu zdecydowali urzędnicy za plecami naukowców i poza demokratyczną debatą. Celem procesu bolońskiego jest zamiana uczelni w taśmowe fabryki produkujące siłę roboczą dopasowaną do wymogów elastycznego rynku pracy.³⁹

Zanim skomentuję ten cytat, dodam do niego jeszcze jeden głos młodego uczonego, filozofa, z Uniwersytetu w Białymstoku (miejsce zatrudnienia okaże się tu ważne), który z przerażeniem zaczyna postrzegać wsparcie dla studentów – tych, których na podstawie swojej praktyki dydaktycznej opisuje jako „niepiśmiennych troglodytów” – w przytoczonym przed chwilą instruktarzu ministerialnym pt. *Jak przygotować programy...* Zafrapowało go tam, jak powiada, szczególnie jedno zdanie:

Definiowane przez uczelnię efekty kształcenia nie powinny odzwierciedlać oczekiwań i ambicji kadry, lecz realne możliwości osiągnięcia tych efektów przez n a j s ł a b s z e g o [podkr. autora skryptu] studenta, który [...] powinien uzyskać dyplom poświadczający uzyskanie kwalifikacji pierwszego lub drugiego stopnia.

Strategia nauczania, polegająca na wyrównywaniu do najslabszego, oznacza – czytamy w komentarzu – „obniżenie poziomu nauczania i zastąpienie wiedzy krótkotrwałymi informacjami, przydatnymi w danym momencie na rynku pracy”. I wniosek:

Otóż twierdzą, że w skrypcie Kraśniewskiego mamy do czynienia z podżeganiem do bezprecedensowego dowartościowania procedury negatywnego oceniania. Do tej pory poszukiwałem na swoich zajęciach studentów najlepszych, najwartościowszych. Teraz ma to się zmienić. Mam oto rozpisywać w grupach konkurs na ostatniego palanta, na beznadziejną ofiarę własnej niemożności i pod nią pisać sylabus do prowadzonych zajęć. Przecież to chore.⁴⁰

Zacznę od opinii redaktorów „Krytyki Politycznej”. Nie przejmowałbym się tak bardzo jak oni całą Europą, nie przesądzałbym też ryczałtem o poziomie i stanie tamtejszej – gdzie konkretnie? – demokratycznej debaty. Europa w wielu miejscach ma bowiem znacznie silniejszy potencjał naukowy niż my – inne też uwarunkowania społeczne dla uniwersytetu, o czym była mowa na przykładzie Niemiec. My nie mamy takiego, jak nasi sąsiedzi, otoczenia instytucjonalnego uniwersytetu, złożonego z takich społecznych podmiotów, jak media, wydawnictwa, fundacje, akademie – jako stowarzyszenia, a nie instytucje państwowe! – instytuty naukowo-badawcze o charakterze non-profit, innowacyjna gospodarka wreszcie, otoczenia, które byłoby zdolne równoważyć reformatorskie szaleństwa naszej

³⁹ Zespół KP, *Trzeba bronić uniwersytetu*, [w:] Uniwersytet zaangażowany..., s. 9.

⁴⁰ P. Nowak, *Hodowanie troglodytów*, „Rzeczpospolita”, 28.06.2012. Tekst na stronie: <http://www.rp.pl/artykul/905410.html> (pobrano: listopad 2014).

władzy, inaczej mówiąc: toczyć z nią partnerską, równorzędną walkę w obrębie społecznego wytwarzania znaczenia uniwersytetu. Stąd i asymetria między dyskursem oficjalnym/urzędniczym a dyskursem krytycznym/obywatelskim, którą jak na dłoni widać na podstawie powyższych cytatów. Ten pierwszy, ministerialny, legitymizuje jedynie słuszne rozwiązania systemowe dla nauki, mające walor „obiektywności” („wszelkie obserwowane tendencje i zmiany”), dwa następne – do których się przyłączam – delegitymizują je: ukazują rządzące nimi mechanizmy, kojarzą ze sobą takie zjawiska, jak źródła finansowania badań i publikacji oraz pozycję autorów w silnie zinstytucjonalizowanym uniwersum akademickim (KRASP vs. intelektualiści, wśród nich także akademicy, ze środowiska skupionego wokół lewicowego pisma, oraz publicysta, identyfikujący się, o czym pisze w cytowanym tekście, z jedną z fundacji), i odpowiadające tym pozycjom akty ich zajmowania: ekspertyza, zawierająca statystyki, pomiary i wykresy, profesora uniwersyteckiego vs. manifest organizacji społeczno-politycznej oraz tekst publicystyczny, nacechowany emotywnie („troglodyci”, „ofiara”, „palant”, „chore”), odwołujący się do doświadczenia i zdrowego rozsądku. Asymetryczność tych pozycji stawia na przegranej akademików w walce o porządek hegemoniczny: zwycięstwo przypada dyskursowi o uniwersytecie, jaki pozostaje w rękach władzy, opłacającej sówicie zawodowych reformatorów: polityków i intelektualistów-ekspertów, pracujących na rzecz systemu. Taki porządek – taka tożsamość uniwersytetu – nie wyłania się z interakcji między różnymi grupami akademików i polityków, lecz jest narzucony. Przypomnę o podobnych sukcesach władzy, skrótkowo opisanych w dygresji o wiadomościach telewizyjnych – jej hegemonicznym stosunku wobec dziennikarzy i mediów, który osiąga ona poprzez narzucanie swoich własnych partykularnych celów jako definicji takich pustych znaczących, jak „działalność na rzecz wolności słowa” czy „służba państwu i społeczeństwu”.

I jeszcze jedna ilustracja filozofii rządzenia nastawionej na marginalizację środowiska akademickiego – fragment listu otwartego intelektualistów do Minister Nauki z 30. 12. 2013 r. w związku z decyzją Uniwersytetu w Białymstoku o likwidacji studiów filozoficznych z powodu ich „nierentowności”. Ponad rok wcześniej, jak widzieliśmy, jeden z pracowników tej uczelni wypowiedział się krytycznie na łamach ogólnopolskiej gazety – między tekstem gazetowym a decyzją administracyjną nie ma prostej zależności, jednak zbieżność tych wydarzeń o czymś mówi: wskazuje jeśli nie na samospełniające się proroctwo, to przynajmniej na trafność diagnozy uczonego, a z drugiej strony – na konstruktywistyczną, śmiertcioną dla uniwersytetu, jak widać, moc dokumentów urzędowych, stworzonych z pustych znaczących, wypełnianych z intencją centralnego zarządzania systemem:

Mówi się o „gospodarce opartej na wiedzy”, a jednocześnie niszczy się kulturalną, intelektualną i edukacyjną infrastrukturę. Polska gospodarka jest skrajnie nieinnowacyjna między innymi dlatego, że pozwala sobie na marnowanie intelektualnego potencjału swoich obywateli. Ponad tysiąc szkół zlikwidowanych w Polsce w ostatnich dwóch latach, systematyczne odchudzanie programu humanistycznego

w liceum, cięcia budżetu olimpiad przedmiotowych, rezygnacja z dofinansowywania czasopism naukowych i społecznych – to obraz kulturalnej pustyni rosnącej w ciągu ostatnich paru lat. Bankructwo większości ośrodków akademickiej filozofii, w ślad za nimi zaś innych wydziałów humanistyki, doprowadzi do końca kulturalne spustoszenie polskiej prowincji.⁴¹

Znów widać asymetryczność pozycji polityków i intelektualistów w walce o koncepcję/wizję uniwersytetu, zdolną przedrzeć się do sfery publicznej. Koncepcję, która dla intelektualistów nie byłaby, być nie może, nośnikiem *s a m e j p r a w d y* o nim – mogłaby się natomiast stać przedmiotem kontrowersji na temat jego autonomii, otwartości na inne obszary praktyk społecznych, wolności badań naukowych, możliwości zdobywania na nie środków z różnych źródeł finansowania, swobodnego przemieszczania się w strukturze uniwersytetu oraz w jego otoczeniu – między- inter-, i transdyscyplinarne szkoły, klastery, projekty (tzw. doskonale inicjatywy) badawcze itd. Zamiast tego akademicy muszą zajmować się pisaniem kolejnych wersji wniosków o granty do państwowego monopolisty – ich poprawne wypełnianie wymaga osobnych szkoleń – solidaryzować się w pustostłowi niezliczonych sprawozdań, ankiet, sylabusów, macierzy efektów kształcenia i innych dokumentów. W rezultacie – niektórzy uczeni odwracają się od uniwersytetu, tacy chociażby, jak ów filozof z Białegostoku, który dla opisanej przez siebie „opresyjnej sytuacji” szuka rozwiązania poza uczelnią – jego gest potraktowałbym, zgodnie z przyjętą tu nomenklaturą, jako akt poszerzania „pola” uniwersyteckiego. Prawda, że „pole” to przedstawia się dziś w Polsce dość mizernie, jeśli porównać je z naszymi zachodnimi sąsiadami, dopiero raczkuje, ale za to autentycznie, radośnie witane i rozwijane jest przez tych, którzy zdążyli się oswoić z myślą, że nie ma już powrotu do tradycyjnego uniwersytetu:

Twierdzą, że uniwersytet starego stylu jest martwy oraz że nie ma sensu galwanizować jego trupa. Przeciwnie. Trzeba pomóc mu zejść z tego świata i w tym procese boloński oraz najnowsza reforma szkolnictwa wyższego mogą wydatnie dopomóc. Myślenie wyprowadziło się poza uniwersyteckie mury, w czym dostrzegam pewną nadzieję. Podam przykład takiej pozauniwersyteckiej instytucji, którą miałem szczęście współtworzyć. Myślę o Fundacji Augusta Hrabiego Cieszkowskiego. [...] Organizujemy konferencje, wykłady, promocje. Animujemy rozmaite imprezy kulturalne, jesteśmy obecni w mediach. [...] Na uniwersytecie odrabiamy pensum, myślimy poza nim. I powoli uczymy się z tym żyć.⁴²

Na uniwersytecie, w którym odrabia się pensum, wytwarza się efekt kastowości i izolacji, a wraz z nim – intelektualnego wyjałowienia. Bez ożywczych sporów uniwersytet traci zdolność ekspresji różnorodności, unika wewnętrznych konfliktów i przenosi je, wraz z funkcją myślenia, na zewnątrz – staje się w ten sposób coraz łatwiejszym łupem dla rządu i „reżymowych intelektualistów”, ich

⁴¹ *Bronimy filozofii na uczelniach. Intelektualiści piszą do minister nauki* [List], „Gazeta Wyborcza” 30.12.2014, http://wyborcza.pl/1,75478,15200041,Bronimy_filozofii_na_uczelniach__Intelektualisci_pisza.html#ixzz3lkdQgTfu (pobrano: listopad 2014).

⁴² P. Nowak, *op. cit.*

polityki demobilizacji, uniemożliwiania solidaryzowania się środowiska akademickiego przeciw nim – tym, którzy jej ewidentnie szkodzą. Ale to poszerzenie pola akademickiego ma też swoją inną – pozytywną – stronę, wprowadza mianowicie zupełnie nowe, na naszym gruncie, warunki do redefiniowania tożsamości akademików, zmienia bowiem społeczne podstawy ich motywacji i skłonności do teoryzowania i intelektualizowania. Gwarantowana prawem wolność nauki, której ramy i treść narzucają władze polityczne, to wolność potencjalnie skierowana w fałszywą stronę – ku iluzorycznemu wyjściu z jaskini i „obiektywnemu” oglądaniu z zewnątrz niej świata, w tym i samego uniwersytetu. Inaczej jest wtedy, kiedy rezygnuje się z blasku prawdy – i przywilejów, jakie ona z sobą niesie – i decyduje na nieustanne jej poszukiwanie w stale poszerzającym się polu uniwersyteckim. Obraz pola, przestrzeni otwartej, horyzontalnej, koliduje z obrazem jaskini, struktury głębokiej, wertykalnej. Zwykle zarośnięte, przypomina sieć – różnych instytucji, praktyk i dyskursów społecznych, nadających uniwersytetowi swoiste cechy, nieustannie konkurujących o jego ostateczne znaczenie. Ta pierwsza wolność pojawia się „w ramach” zinstytucjonalizowanego procesu uczenia się i nauczania – lubi oportunistów, jest atrybutem profesora, jednostki w pewnym sensie „bezosobowej”, od której wymaga się przyswojenia sobie i przekazywania zastanego stanu wiedzy w zakresie danej dyscypliny – oryginalność może okazać się dla jego zawodowej kariery zębna. Wolność w tym drugim wydaniu – w sieci – promuje natomiast podmioty subwersyjne, niepokorne, wyzwala w nich – a w każdym razie ma ku temu inklinacje – oryginalność, przed dyscyplinę stawia osobę, z jej nieprzewidywalną dynamiką rozwojową.

Intelektualny ogląd świata z „perspektywy” sieci nie daje fałszywego złudzenia, że rzeczywiście jest się poza nim i że można dzięki temu uchwycić – że tak powiem – status istotowy uniwersytetu i nauki jako takiej, przeciwnie – pomaga on uświadomić sobie, że zawsze w tym świecie już się jest, że jest się jego częścią, że nauka jest zatem praktyką społeczną. Wolność w sieci daje intelektualistom możliwość innego rodzaju zdystansowanego oglądu niż ten z zewnątrz (jaskini) – transcendentalny. Chodzi o rodzaj myślenia krytycznego, które dałoby się scharakteryzować jako quasi-transcendentalne, pozbawione uniwersalnej prawomocności i zwrócone ku językom, dyskursom i praktykom akademickim z perspektywy kogoś, kto jest wewnątrz, kto je uprawia i kto nie zgadza się – oburza się – na ich niszczenie, czyli wszelkie akty zmierzające do ich ustabilizowania, podporządkowania jakiemś odgórnie, administracyjnie ustalonemu porządkowi. Wszelkie obiektywistyczne koncepcje nauki – sposobów jej rozumienia, organizowania, zarządzania nią – krytycznym intelektualistom wieszczą zniszczenie ich świata przeżywanego, który – czego są świadomi – moralizuje się i teoretyzuje w ich własnych zachowaniach. Performatywizm ich zachowań społecznych i obywatelskich rozciąga się w ten sposób także na ich praktyki badawcze. Wolność w sieci daje im dlatego szansę na bardziej skuteczną walkę o swoją tożsamość – decydują o sobie, biorą odpowiedzialność za to, co robią, rozważają rzeczywiste funkcjonowanie

uniwersytetu, ujawniają jego polityczne i społeczne uwarunkowania, racje jego aktualnej słabości.

Praktyka pokazuje, że ta sama krytyka prowadzona przez nich w warunkach podległości państwowemu pracodawcy – relacji narzucającej całość znaczeń konstytuujących system szkolnictwa wyższego – kończy się zwykle fiaskiem, podtrzymującym i odtwarzającym ten sam porządek hegemoniczny: odrzuceniem aplikacji grantowej, wstrzymaniem programu inwestycyjnego uczelni, rezygnacją z dofinansowania czasopisma, negatywną opinią dorobku, wykluczeniem z grona dyżurnych recenzentów stopni i tytułów naukowych, likwidacją kierunku studiów, cofnięciem uprawnień do jego prowadzenia, obniżeniem kategorii jednostki naukowej itd.

Funkcjonalizacja patologii

Wskazane mechanizmy funkcjonalizują patologie, w warunkach braku orientacji, etosu akademickiego, solidarności, poczucia bezpieczeństwa ludzi nauki. Brak relacji opartych na wzajemnym zaufaniu, stałe osłabianie pozycji autorytetów (w związku z tym także relacji mistrz – uczeń) sprawiają, że problematyczne staje się zastosowanie do tego środowiska kategorii kapitału społecznego⁴³. Promuje ono za to hipokryzję, podwójną moralność znaną z czasów komuny. Czyni z uniwersytetu szkołę łamania charakterów i konformizmu⁴⁴, co widać już na etapie studiów doktorskich (bezwzględna, w wielu przypadkach nieuczciwa walka o punkty i stypendia), stawia na przeciętność, w organizacjach rad wydziałów i instytutów wzmacnia klientelizm w praktykach doboru składu osobowego komisji – doktorskich, habilitacyjnych

⁴³ „Wielkim wyzwaniem stojącym przed nami jest stworzenie merytorycznego systemu oceny jakości pracy naukowej, który pozwoli wskazać najlepszych, ale także wyeliminować tych, którzy nauce po prostu szkodzą. Jedyną znaną światu alternatywą systemu ilościowej oceny jakości jest merytoryczna ocena treści, określana mianem peer-review. Niestety największą przeszkodą w stworzeniu skutecznego systemu peer-review w Polsce nie jest jego koszt, lecz niski stopień zaufania społecznego. A ten, wśród środowisk naukowych, jest dramatycznie niski. Władze zarządzające nauką nie ufają ocenom środowiska, poszczególni naukowcy nie mają zaufania do siebie nawzajem” (Ł. Niesiołowski-Spanò i A. Pieniądz, *Kondycja humanistyki*, „Forum Akademickie”, nr 5, 2014 [cytuje wydanie internetowe na stronie: <https://forumakademickie.pl/fa/2014/05/kondycja-humanistyki/>] (data pobrania: październik 2014).

⁴⁴ „To nie uczeni zarządzają współczesnym uniwersytetem, ale biznes i administracja. W cenie jest uległość i brak pytań, potulność. Tak cenne w czasach Kanta odznaczenia za odwagę – *sapere aude!* – dziś trzyma się poupychane w szufladach. Skoro moje istnienie zależy od kolejnej ewaluacji, po cholere mam się narażać. „A jednak ze wszystkich stron – pisze Kant – słyszę pokrzykiwanie: nie myśleć! Oficer woła: nie myśleć! ówiczyle! Radca finansowy: nie myśleć! płacić! Ksiądz: nie myśleć! wierzyć!”. Dziś, i jest to grzech główny akademików, wybiera się właśnie tę drogę: drogę niemyślenia. Akademicy – jedni z obawy przed bezrobociem, inni, ponieważ nieźle zarabiają – uciekają przed naciskami administracji i biznesu w stosunkowo łagodną obstrukcję i dezinterpretację ich poleceń. A nawet gorzej: uderzają w ton moralnej wyższości, co w biuralistach wzbudza szczerzy śmiech. Tymczasem stawka w całym tym zamieszaniu jest naprawdę wysoka: jest nią wolność i władza. Dotychczas właściwą przestrzenią wolności był uniwersytet, który zresztą przez setki lat stopniowo ją tracił na rzecz polityków (myślę tu także o Kościele). Dziś tej wolności jest tyle, co kot napłakał. Wolność została – trzeba to głośno powiedzieć – spieniężona lub wymieniona na inne dobra, na przykład na bardzo przyjemne zajęcia, jakim jest turystyka naukowa” (P. Nowak, *op. cit.*).

i innych, w ustawianiu konkursów na stanowiska akademickie, w funkcjonowaniu tzw. spółdzielni recenzenckich, tj. grupy osób wzajemnie recenzujących sobie prace na tytuł i stopień naukowy; zabija krytykę naukową, czyli tę, która rozgrywa się publicznie, na łamach książek i czasopism, na rzecz anonimowej *peer-review*, rzekomo „bardziej szczerych” – jak argumentują entuzjaści – „ocen [naszych] produktów niż oceny wystawiane nam we własnych instytucjach”⁴⁵. Dlaczego bardziej szczerych, skoro „oceniających z pieniędzy państwowego monopolisty”⁴⁶? Dlaczego lepszych od tych we własnych środowiskach, a nie od tych na forach publicznych, podpisanych imieniem i nazwiskiem?

Jeśli takich zachowań uczy uniwersytet, to działa to na dwie strony – na sam uniwersytet i na jego otoczenie, „pole” – stowarzyszenia, organizacje itd. – które rykoszetem sprzyja następnie demobilizacji środowiska akademickiego. Otoczenie staje się bowiem jego odbiciem – tak samo jak on nieobywatelskie, egoistyczne, niedemokratyczne = nietransparentne, wysyłające do sfery publicznej dziennikarzy samoznających swój zawód, oparty na przywileju bycia obiektywnymi i bezstronnymi, do polityki – jednostki walczące o partykularne interesy, przechwytyjące władzę państwową i używające jej dla własnych – partyjnych – celów. Koło się zamyka. Gdzie w nim miejsce na krytyczne intelektualne obywatelstwo – które musiałoby je przerwać? Na poszukiwanie i rozwijanie prywatnych talentów bez inklinacji do narcyzmu i resentymentu? Na publiczne powinności? Gdzie miejsce na krytykę, która byłaby zdolna wzbudzić niepokój i poczucie winy u wszystkich cynicznych urzędników i rządowych ekspertów odpowiedzialnych za kształt uniwersytetu – krytykę czerpiącą swą siłę moralną – jak ujmuje to Michael Walzer – z „wszechobecnego i głębokiego idealizmu społecznego”⁴⁷?

To koło jest niebezpiecznie państwowcentryczne. We władzy państwowej, w politycznych źródłach produkcji opinii uczy upatrywać strażnika ognia, nie tylko głównego obrońcę publicznych środków przed niekontrolowaną prywatą uczonych, lecz także jedyne gwaranta jakości i poziomu kształcenia i badań naukowych: „Bez sprawowania przez państwo rzeczywistej funkcji kontrolnej oraz decyzyjnej trudno stwierdzić, by za ilościowym wzrostem liczb bezwzględnych w edukacji podążało identyczne bogactwo jakościowe”⁴⁸ – do takich genialnych wniosków zdążyli się już u nas przekonać nawet doktoranci, bezkrytyczni młodzi adepci nauki, zagubieni w liczeniu punktów za publikacje, w pogoni za kolejną konferencją, w której udział zwiększy ich szansę na pracę na uniwersytecie – bez-

⁴⁵ Opinia Antoniego Sulka, socjologa Uniwersytetu Warszawskiego, członka Komitetu Socjologii Polskiej Akademii Nauk, Centralnej Komisji do spraw Stopni i Tytułów oraz Rady Nauki przy Ministrze Nauki i Szkolnictwa Wyższego – zob. jego tekst w sieci pt. *O grantach Ministerstw Nauki i Szkolnictwa Wyższego*.

⁴⁶ A. Walicki, *op. cit.*

⁴⁷ A. Walzer, *Moralne maksimum, moralne minimum*, przeł. J. Erbel, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2012, s. 50.

⁴⁸ F. Nowacki, *Aktywność przedsiębiorcza uniwersytetu trzeciej generacji – uniwersytet czy przedsiębiorstwo?*, [w:] D. Burawski (red.), *Uniwersytet trzeciej generacji. Stan i perspektywy rozwoju*, Europejskie Centrum Wspierania Przedsiębiorczości Sp. z o.o., Poznań 2013, s. 29.

pieczonej przystani dla jednostek bardziej sprytnych, bardziej mobilnych i bardziej bezrefleksyjnych.

Wniosek

Uniwersytet poddany przedstawionym tu mechanizmom regulacyjnym nie kształtuje więc krytycznego intelektualnego obywatelstwa. Środowisko akademickie, spauperyzowane i pozbawione „konceptji siebie”, łatwy łup dla nadzoru i kontroli państwa, nie jest dla niego żadnym podmiotem ani partnerem w grze publicznej, nie pojawia się w świadomości społecznej jako znaczące. Nie tworzy koncepcji, które służyłyby nie tylko do diagnozowania, lecz także do zmieniania natury konfliktów społecznych, wyznaczania jakichś alternatywnych sposobów ich rozwiązywania, które legitymizowałyby sferę publiczną, aksjologicznie ją uzasadniały. Nie tworzy też alternatywy dla zmiany cywilizacyjnej, jaka na naszych oczach się dokonuje – uniwersytet zdaje się tylko jedną z jej bezwolnych ofiar. A zmiana ta oznacza także koniec kultury intelektualistów, nawet gdyby mieli to być tylko akademicy, a nie modernistyczni „prawodawcy” – i domaga się dziś odważnego zredefiniowania ich ról społecznych. Ale stawką w tej grze kulturowej jest ostatecznie (zawsze jakiś) rząd dusz. Jaki ma/miałby to być rząd, z jakimi prerogatywami? A może tylko z etosem krytycznego intelektualnego obywatelstwa? Takiego obywatelstwa obawia się państwo, które chce ukryć fakt, że jest coraz słabsze, a jego władza – coraz bardziej fikcyjna.

Jan P. Hudzik

University and the Problem of Critical Intellectual Citizenship

Abstract

The article aims at showing the powers engaged in the struggle for the creating of the identity of the university and intellectuals in Poland. It is tantamount to revealing the theoretical and political grounds on the basis of which the process of the social construction of their meanings rests. This process takes place in the power relationships, which might be called (just like in the previous communist system) the democratic centralism, within the strongly centralized state and with strongly party-dependent politics. The author asks the question about the critical intellectual citizenship of Polish academicians/intellectuals (the phrase I have borrowed from Dominick LaCapra). The text has been produced by applying a critical discourse analysis to the documents on the

current reform of the higher education as well as many, randomly selected, fragments of the public debate connected with the reform in question and the so-called world of science in Poland.

The study identifies the situations in which government clerks/bureaucrats (Ministry of Science and Higher Education) and their collaborators, regime intellectuals, regardless of their political orientation, consistently have resorted to the techniques of marginalizing the academic community in the last quarter century – they not only bureaucratize, but also paralyze it through preventing it from creating the version of it very self. They use false and illusive images of university (or science community in general) to seize hegemony over it. viz., the control and domination of political center.

The paper is no systematic – “objective” – elaboration of the subject. It is based on some selected literature and some considerations drawn from the public critical debate and discussion. The article aims at enabling intellectuals to better understand their condition and structural obstacles they meet on their way of creating their surroundings, place of work and, consequently, their social identity. The university under control mechanisms (as unveiled in the paper) does not mould the critical intellectual citizenship at all. The academic community, economically disadvantaged and deprived of the idea of its very self is an easy prey to state control and supervision, and is no match for the state in the public game.

Keywords: intellectuals, critical intellectual citizenship, party dependent politics, university, social identity of university, academic field, academic environment, demobilization of academic environment, structural nonmaneuverability of the system of higher education, official / white-collar discourse, critical / civic discourse, fictionalization of pathology (at university).